



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny.

Redakcyjna teka naszego pisma zgromadziła jedenaście odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny, stawiający pytanie: jak rodziny klas inteligentnych mają sobie radzić wśród dotykającego nas przesilenia ekonomicznego i ubożących jego skutków? Dwie z pomiędzy nich pochodzą z miasta, dziewięć ze wsi, ale właściwie dzielą się one przez treść swoją na zagadnienia: jak rodzina klas wspomnianych może najwięcej oszczędzić? jak może sobie dochodu przysporzyć? Myśl o zachowaniu panuje i dobrze, że tak jest, bo dowód to gruntowości w namysłach i przewagi rozumu nad wyobraźnią. Nie tylko jest rzeczą naturalną, aby najpierw nie wypuszczać z ręki tego, co posiadamy, zanim rękę ową wyciągniemy po nabytki nowe, ale praca zarobkowa, jeżeli ma być uwieńczona powodzeniem, musi—musi koniecznie, nieodwołalnie posiadać kapitał dwójakiego rodzaju:

I. Grosz gotowy, jako nakład na materialne środki przedsięwzięcia dającego zarobek, a ten mogą posiadać tylko ludzie oszczędni.

II. Zasób sił moralnych, złożonych w poważnem zapatrywaniu się na życie, w nawiązywaniu, które jedynie wyrobić się mogą przez to życie, pędzone skromnie i prosto—oszczędnie.

Czy elegancka, która pół serca, pół duszy swojej, oddała strojom, wizytom, zabawom, która siałe po nocach, a sypia do południa, dla której rzeczą najcenniejszą są stosunki światowe i szlachetny blasku podtrzymującego je, może stanąć do pracy dającej zarobek? Gdyby nawet znalazła w sobie nagłe zbudzone tego pragnienie, szczerze,

nieklamane pragnienie, powstałe czy z rozumu i uczucia potrzeby, czy z przywiązania rodzinnego, które niekiedy mieści się i w sercu elegantki, zwłaszcza jeżeli jest matką—gdyby nawet znalazło się i coś czasu odkradniętego obowiązkom, i przyjemnościom światowym na korzyść pracy w rodzinie, to sił do niej zbraknie i wytężanie się w dwóch kierunkach sprowadzi upadek zdrowia, wycieńczenie. Dwóm panom nikt służyć nie może, bo dwóch służb ciężary przynależą do ziem, a przytem z kąd tu nagle wziąć zdolności koniecznie potrzebnych? Z kąd wziąć wiadomości, bez których się obejść nie można, i chęci nie przymuszającej się gwałtem, ale tej prawdziwej, tej rzeczywiście dobrej chęci, która trudności usuwa i zmęczenia się niemi nie dopuszcza. Bo zamilowanie raz wyrobione ma w sobie posiadające uszczęśliwiające moce...

Wolno mi wątpić o cudownym tego wszystkiego otrzymaniu, bo każdy, kto zna naturę ludzką, wątpić musi o tej rzeczy nienaturalnej, aby to mogło przyjść na zawołanie, bez poprzedniego przygotowania, bez danych moralnych, które stanowią muszą o stanie ducha osoby, pracującej w kierunku jakimkolwiek. Przytem gdzie się podziwianie naraz próżność, która bywa najczęściej podstawą dążenia do elegancji? Gdzie się podziwianie cały szereg tych wad i słabości rozmaitych, które w nas wyrabia życie tak skierowane? Lekomyślność płocha, powierzchowność myśli i uczuć, zniżona skala poglądów na życie, powolne obumieranie uczuć głębszych i gorętszych, wytworzenie się małych, lichych, koteryjnych ambicji, podstawiających się w miejsce wyższych, szlachetniejszych pożądań, zwężenie piersi do miary krawca a nie Fidyasa—wszystko to następstwa, ciągnące się jak korowód długi za płochem istnieniem efemeryd elegancji, gdzież zatem da się tu pomieścić konieczna przy pracy wytrwałość i hart woli—myśl wyższa i ofiarność, któraby była podnietą tej pracy?

Bo jeżeliby przypadkiem ta praca zarobkowa miała być podjęta, nie na korzyść dobrobytu rodziny, jeżeliby nie była pomocą w jej utrzymaniu: środkiem czy lepszemu wychowaniu dziecka, czy ulgi niesionej mężowi, lub rodzicom, a wywodziła się tylko trudem, ponoszonym dla celów samolubnego zdobywania sobie błyskotek i zbytków—wytworności, niemających nic wspólnego, ani ze szczęściem, ani z rzeczywistymi potrzebami rodziny, ogniska domowego, w takim razie praca ta nie zapisuje się w rubryce naszej znakiem więcej, lecz przeciwnie jest ujemnością, bo odrywa kobietę od obowiązków rodzinnych, myśl jej na inne pole przenosi i męczy ją w trudach niezwiązanych z celem, do którego przedewszystkiem dążyć powinna.

Zatem wśród odpowiedzi nadesłanych bardzo rozumna myśl przejawia się w tem dążeniu najpierw do skromnego, prostego, oszczędnego życia. w tej chęci skupienia się w niem najpierw—zdobycia sobie za jego pomocą, tak materialnego zapasu na środki do pracy, jak i przywyknień ułatwiających, umożliwiających pracę ową. Jest to i początek konieczny, i stan, który bynajmniej nie ma być uważanym za przejściowy. Musi on być stałym, musi on wejść w obyczaj nasze tak, jak wszedł i utrzymuje się trwale w obyczajach innych, pracowitych narodów, gdzie nikt nie patrzy na pracę, jako na ciężar, który dźwigać nakazuje konieczność smutna, ale jako na życia warunek normalny. Kto trochę podróżował, kto widział sąsiadujące z nami Niemcy, Francję, kto widział pokrewne nam Czechy, nie patrząc przecież na nie przez pryzmat okien hotelowych, spostrzedz musiał, że cała ta zamożność którą podziwiał, wytwarza się przez pracę całego ogółu: klas wyższych i niższych przez całego ogółu oszczędność, życie umiersono do skali nie pragnień swoich, nie pretensyi, czy rodowych czy gruntujących się na zasadzie wyższej, lub niższej inteligencji, lub tak zwanych praw jednostki ludz-

kiej do używania, ale do tego, co posiada jako środek zadawania swoich chęci, i to ze względu na przyszłość, skoro owe środki zmniejszyć się mogą przez okoliczności od nas niezależne, jak to ma teraz miejsce u nas.

Podkopało nasz dobrobyt życie nieliczące się z jutrem, niemyślące o koniecznych przemianach ekonomicznych—wygodne, spokojne życie, kroczące bezmyślnie torem ubitym nie za naszych czasów i nieodpowiadające naszym czasom. Złe są te czasy... tak, niestety! ale źle to spotęgowywa się i pogłębia niesłuchanie z tej przyczyny, że zastaje nas nieprzygotowanych w żadnym kierunku, bez zapasów, któreby okazywały, że była przecież jakakolwiek troska o przyszłość, jakieśkolwiek przewidywanie chwili, która jednak nie spadła na nas z nieba, jak pękający tam meteor.

Narada, na którą zwołujemy się strwożeni, wyrzekła przeważnie w zakresie czytelników naszego pisma słowo: oszczędność!

List 1-y z *Płockiego* pisany jest przez mężczyznę, ale zwraca się głównie do kobiety. Gospodarstwo rolne nie jest w ziemiach tamtych zaniedbane, lecz, przeciwnie, usiłuje iść z postępem czasu i nauki: stara się o dobrą uprawę gruntów, nie odsuwa pomocy maszyn i robi to wszystko, oile go stać na nakład, jakiego rzecz wymaga. Dzieje się to jednak głównie w majątkach większych, gdzie o kapitał mniej trudno; ale tak tam, jak i u właścicieli mniej zamożnych kapitałów złożonych, oszczędności ubieranych bardzo mało i każdy rok zmniejszonego urodzaju zaznacza się jakąś ruiną, a wina tego leży głównie w obyczajach naszych: żyjemy w stosunku do chwili obecnej nad stan.

Majątki się rozdrabniają przez podziały, co jest naturalną koniecznością życia, a stopa utrzymania rodzin pozostaje dawną, nie w znaczeniu dawniejszej prostoty obyczajów, ale według dawnego pojęcia pańskości. „Noblesse oblige!” zostaje najfałszywiej zrozumiana za zasadą tego sztucznego życia, które wiedzie do upadku i lepiejby prawie wyszedł uparty zachowawca, któryby gospodarował podawemu, jeżeliby i żył trybem dawnym, ograniczając się do starsowieckiego obyczaju, gdy gość był przyjmowany głównie przetworami miejscowej spiżarni, gdy robiło się w domu płótno na koszule dzieci, a nawet na posłedniejszą bieliznę całej rodziny, gdy pani, choćby bogato wyposażona, córka senatorska, pilnowała osobiście mleka cedzonego w sklepie, zbierania z dzieł śmietany, z której bito w jej obecności masło, a śmietankę do kawy przegotowywała kawiarka w pokoju kobiecym. Dzieci piły wtedy na śniadanie mleko, a przy stole kieliszki do wina stawiano tylko przed rodzicami i to nie codziennie. Suknie, wyjąwszy już najświetniejsze, wyjątkowo wystawne, robiły się w domu, a krawiec z miasteczka pomagał pannie służącej do ich wygotowania.

Obecnie obyczaje zmieniły się z gruntu, mnóstwo rzeczy w mieście się kupuje, bo dawny tryb życia i przyjęcia uchodzi za starsowiecki i ustępuje coraz. Zwiększają się wydatki w tym kierunku, a nie przybywa dochodu w innym; majątki się obdłużają, a w najlepszym razie żyje się z roku na rok, bez żadnego zapasu, odłożonego na chwilę przejsię trudniejszych.

Wielka część winy spada tu na kobietę, bo to ona tworzy obyczaje: ona daje ton towarzyskiemu życiu, ona buduje układ domowego istnienia rodziny. Mężczyzna powinienby gdzieś w górze trzymać hak wagi i lepiej niż to czynił niedgdyś, wołać: — Nie pozwalam!... Ale tłómaczy go tu wiele względów, pominąwszy ten najpierwszy i wiele znaczący, że zajęty pracą poza domem, która na oko wydaje się ważniejszą, nie ma ani czasu, ani głowy do czuwania nad wewnętrznymi sprawami rodziny. Kiedy się małżeństwo zawiera i dom urządza, mężczyzna zostaje zwykle pod urokiem miłości, jest więc słaby i do zwyciężenia łatwy, odkłada reformy na później, ale to *później* elastycznie się rozciąga, bo znajduje opór na każdym kroku, bo żona widzi w jego dążeniach do zmiany życia brak przywiązania, a gdy przychodzą na świat dzieci, ich wychowanie stanowi nowy kamień obrazy. Kobiety nasze są zwykle dobrimi matkami, gorąco

przywiązani do dzieci, ale rzadko umieją podnieść się do wyższego ideału macierzyństwa. Pieszczą dzieci, stroją je, czynią je zaraz przy pierwszym kroku w życie jasnie panienkami, jasnie paniczami, i wychowanie młodego pokolenia staje się bardzo kosztownem, zwłaszcza gdy przyjdzie czas nauki i wysłania w tym celu dzieci do miasta.

Czy córki nie uczą się zawiele, a raczej, czy uczą się tego, co im będzie rzeczywiście w życiu potrzebnem? Nie chodzi tu oto, aby nauka ograniczała się do samych wiadomości stosowanych; czy przecież dzisiejszy programmat nauki dziewcząt nie jest przeładowany ilościowo, z krzywdą jakości? Skutek jest ostatecznie takim, że wychodząc z domu dziećmi, dziewczęta wracają do niego dorosłymi pannami, i odzwyczajone od wsi, od pracy domowego gospodarstwa, mniej jeszcze niż ich matki oddają mu się czynnie, osobiście: a jednak to rzecz potrzebna, nie tylko jako realny skutek tej pracy, ale jako zajęcie i skierowanie myśli, przywiązanie kobiety do zawodu jej życia.

Coraz mniej jest gospodyń zamiłowanych, dobrych gospodyń w rozleglejszym znaczeniu tego słowa, któreby umiały z pracy gospodarstwa domowego uczynić gałąź rzeczywiście produkcyjną i korzyść przynoszącą. Istnieje dziś wprawdzie pewien kierunek oszczędnościowy, jest, naprzykład, po dworach mniej sług, pomocniczek, niż to bywało dawniej; ale cóż ztąd, kiedy się nie osiąga tego pożądanego rezultatu, aby gospodarstwo domowe starczyło sobie w takim stosunku, jak było dawniej, gdy pani dochodami z nabiału, z owoców, z jarzyn, opędzała potrzeby domowe, potrzeby swoje i dzieci! Dowodzi się rejestrami, że gospodarstwo kobiece, chcąc produkować, więcej wydaje, niż przynosi—czego to przecież jest dowodem?

Piszący ten list widział w Saxonii kobiety, których muzykalność dochodziła artyzmu, czytające i czujące wszystkich znakomitszych poetów narodowych, znające literaturę ojczystą, które jednak same przerabiały w dziejach ciasto na chleb i spełniały wiele zajęć tego rodzaju: zimowymi wieczorami przedły, robiły pończochy dzieciom, mężowi, sobie, nie bojąc się, aby ten wyrób domowy szpecił je i eleganci ich, ich pańskości szkodził.

Miały do takiej pracy dość sił i woli dobrej, bo je do tego przygotowało wychowanie, bo odczuwały potrzebę pracowitości swojej, i znały jej wartość—bo wreszcie te, które nie były rzeczywiście paniami, nie uważały się za panie.

Zmiana w obyczajach przez usunięcie z nich pańskości, którą przesiąkają u nas od młodu rodziny właścicieli ziemskich, dzierżawców, wychodzących ze sfery zwanej szlachecką, i tak dalej po stopniach różnych: oto pierwsza i najbardziej uciążliwa potrzeba, która pociągnie za sobą reformę w domowych naszych nawykniach, w towarzyskich naszych wymaganiach.

Polega to przeważnie na kobiecie, jako na żonie, matce i gospodyni.

Niech żona będzie względniejszą, wyrozumiałszą, tkliwszą na położenie męża; niech wymaga mniej dla siebie i dzieci, które niech rozumnie, lepiej kocha, z głębszym zastanowieniem się nad ich przyszłością. Gospodyni niech się więcej do obowiązku pracowitości poczuwa, niech z jednej strony odrzuci formy życia przeżyte, z drugiej niech sięgnie myślą w tradycję naszą starą, gdzie znajdzie wzor pełen powagi i godności.

Niech przedewszystkiem małżeństwa zawiązują się na warunkach życia nowych; panna, rozkwitająca do życia w domu rodzicielskim, niech wie zczasu, że jej najszcześniejszym losem jest zostać pracownicą towarzyszką pracowitego człowieka, matką pracowitych dzieci.

Od mężczyzny powinna wyjść inicjatywa, mężczyzna jest obowiązany do przeprowadzenia reformy, ale niech kobieta nie stoi mu na drodze zaporą, niech go nie rozhartowywa łzami, żalami swemi: nie męczy, nie udręcza, kamieniem u szyi jego nie cięży.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIKTOR HUGO

(CHARAKTERYSTYKA).

(Dokończenie, Ob. Nr 26).

Dzieciństwo Wiktora Hugo rozwijało się w warunkach podniecających wyobraźnię do nadzwyczajności. Do jedenastego roku żyło dziecię w obozie, w podróżach przez malownicze krainy, w zgiełku wojennym i niebezpieczeństwach, w wirze wypadków, przynoszących wielkie radości, wielkie trwogi i boleści. Nie mogło to wszystko pozostać bez wpływu na jego imaginację. Ojciec był generałem Bonapartem, walczył i rządził w dalekich krajach, ścigał rozbójników, trzymał w posłuszeństwie ludy obce; matka, córka dostawcy okrętowego w Nantes, prawiła mu o starożytności wandejskiego swego rodu, a była to kobieta śmiałego umysłu i odważnej energii; tajemnicze postacie snuły się przed chłopięciem jeszcze w Besançon; patrzalna przygotowania wojenne, słuchał opowiadań o tryumfach Francji; w nagłych przejazdach przez Prowancję i Langwedok, przez Hiszpanię i Włochy, uderzała go wspaniała natura w Alpach, Pirenejach i Apeninach: wszystko dochodziło do tej duszy ciekawej, do tych oczu szeroko na świat roztwierających się, w kształtach ogromnych, w barwach silnych, jakich sama proza życia nie miała, i im mniej dziecię treść samą rozumiało, tem silniej olbrzymiosć, tajemniczość, wdziek jakiś mistyczny zagnieźdżał się w wyobraźni, urabiając odpowiednio do niej pamięć, wrażliwość, uczucie i samo natchnienie. Przed zrodzeniem się jeszcze talentu czuł już potrzebę wejścia w świat swą istotą. W domu generała Sigisberta Hugona przy Impasse Feuillantines w Paryżu w latach 1809—11 przechowywał się wielki napoleoński przestępca generał Lahorie, zaplątany w spisek gen. Moreau. Był on pierwszym nauczycielem chłopca w umiejętności języka łacińskiego. Tu, w Feuillantines, wysłuchiwał go zbiorowie Napoleona i powlekli pod strzały karabinowe. Dziecko na scenę samą nie patrzyło własnymi oczyma, ale, dowiedziawszy się w Hiszpanii o wypadku, odtworzył go sobie w barwach i kształtach, na jakie tylko imaginacja do ogromności już włożona, zdobyć się mogła. Po byt dziesięcioletniego chłopca w Hiszpanii, w jej części maurytańskiej, zaszczerpił w Hugonie pociąg do rzeczy wschodnich, do nieba południowego, do hiszpańskiego romantyzmu, do Maurów i rycerskości, do wszelkich awanturniczych przygód, w których niebo i ziemia uczestniczyć musiały. Pomysł *Ernani*go wychował się w pieluchach tych pierwotnych wrażeń, a jeżeli do słowności *Orientales* posłużyły widoki wschodów i zachodów słońca w Vanves pod Paryżem, to i wspomnienia Południa, wyniesione jeszcze z dzieciństwa, uzupełnić musiały tę rzeczywistość, jakiej wyobraźnia, nawet tak oderwana, potrzebowała do swych obrazów. W trzynastym roku zaczął już małeć pisać; w 15-m nadesłał do Akademii rozprawę *O pożytkach nauk*; uznano ją za najlepszą, ale nie dano nagrody, nie chcąc wierzyć w prawdziwość autorstwa. W tym czasie rwał się już Hugo do dramatu; napisał tragedję *Inez de Castro*, której szczątki znajdują się w *Mélanges littéraires*. Na szesnasty rok przypada *Bug-Jargal*; w parę lat później powstał *Han d'Islande*.

Od r. 1818—1822 wydawał pojedynczo swe ody i ballady. Kiedy wyszedł pierwszy ich zbiór, w r. 1822, Chateaubriand nazwał autora „dzieckiem cudownym“, a royalści uważali go już za przyszłego swego proroka. Ludwik XVIII wyznaczył mu pensję 1;500 fr., a rzecz dziwna, że nie tylko jej nie cofnął, skutkiem ofiarowania gościnności Dilonowi, ale nawet, dowiedziawszy się o zamiarze małżeństwa, dar podwoił. Było to niezbędne, gdyż rodzina po upadku Napoleona, skutkiem nieznanych okoliczności, zbiedniała. Ożenił się Hugo bardzo młodo, bo w 20-ym roku

życia, z towarzyszką swego dzieciństwa Adela Fouché. Małżeństwo to było szczęśliwe; dom Wiktora Hugo pomógł jego talentowi do zgromadzenia naokoło siebie wszystkich młodych, młodą Francją literacką i polityczną stwarzających, umysłów. I tak, w tym samym 1827, kiedy Odeon wygwizdywał napisany wspólnie z Ancelotem dramat *Amy Robsart* (z Walter Scotta), przedmowa do *Cromwella* rozwijała chorągiew do romantyzmu, szeregowała wszystkie zapalone głowy pod komendę dwudziestopięcioletniego wodza, który wołał, że nawet brzydota musi być piękną, bo nie sztuce obcem, nic w niej brzydkiem być nie może. Był to manifest, nie bardzo naukowy i nie bardzo nawet rozsądny, żywego ducha przeciwko martwej literze, — natchnienia przeciw konwencyonalizmowi, — nieśmiertelnej młodości przeciwko grzybiejącym już starcom: nowy świat stwarzany, jak go stwarza zwykle młodość, z której kiedyś ma być prawdziwa siła, prawdziwa energia i działalność wieku męskiego. Cała estetyczna teoria była tu tylko sukienką osłaniającą nagą młodzińczego absolutyzmu. U szczytu swego wpływu, swojego świetnego przodownictwa na czele nowej szkoły literackiej we Francji, znajdował się Hugo w r. 1830, kiedy już wydał był wszystkie swe *ody* i *ballady*, napisał *Marion de Lorme*, zadziwił bogactwem słowa i wyobraźni w *Orientales*. W lutym tego roku przedstawiono jego *Ernanię*. Zachwyceni wrzeszczeli; cała młodzież artystyczna i literacka, w zbojkotach lub ulicznikowskich strojach, pełniła przez kilkadziesiąt przedstawień służbę przy tej arce romantyzmu i nie pozwoliła jej stracić na ziemię. Przychodziły nieznajome młodzieniaszki do uwielbianego poety, ofiarując mu swe usługi; jedni drugich przyprowadzali, patrzano na nowatora z cziłą należą wielkim ludzom, wieszczom, prorokom, świętym w ołtarzach. Stary Karol Nodier oddał się pod jego rozkazy; młodziuchny Gautier z trwogą duszy czystej a skromnej przestępował progi domu w okolicach Pól Elizejskich. *Ernani* zwyciężył, a z nim i romantyzm francuski.

U nas ten proces romantyzmu z klasycyzmem dobiegał już do końca; we Francji dopiero się na dobre zaczynał. Gdyby umiano odrazu określić poezją i talent poetycki, gdyby wskazano rolę życia we wszelkiej twórczości; gdyby spokojnym rozumowaniem oddzielono światła od cieniów, plewy od czystego ziarna — cała ta wielkość Hugona byłaby wielce zagadkową i mogłaby zejść do znaczenia bieżącej sławy literackiej. Szczęściem prawdziwym dla autora *Hernaniego* było właśnie to roznamietnienie, które odepchnęło krytykę i teorię, a wywołało do walki krew gorącą i nieokreślone poczucia. Na tem polu młodzi musieli odnieść zwycięstwo, a w aureoli jego zajaśniała głowa Wiktora Hugo, jako dowodzącego w bitwie generała. Odtąd rósł ciągle, rósł nad miarę zwykłej sławy literackiej. Zmiana rządu we Francji przyczyniła mu się jeszcze do wzrostu. Z legitymisty, przez postępowiec, przez niepodległość silnego samoistnego umysłu, doszedł do liberalizmu, który wyrażał się między innymi i w czci chwały wojennej Francuzów za Napoleona I-go. Już w *Feuilles d'automne* (1831), gdzie odzywa się niejeden głos w obronie spraw szlachetnych — czuć sympatyje napoleońskie; w *Chants du crépuscule*, w *Voix intérieures*, w *Les rayons et les ombres* (1835—40) czci już Hugo Napoleona jako wielkość. Nie był to bynajmniej bonapartyzm w jego koteryjnym znaczeniu; ale reakcja przeciwko nienawiści, która w aktach urzędowych nawet nie wahała się nazywać Korsykańina „złoczyńcą“. Cała szkoła liberalna za Ludwika Filipa przez cześć dla Francji i sztandaru francuskiego doszła do tego uznania dla Napoleona, które potrzebowało ukoić się chociażby sprowadzeniem jego zwłok. Gdyby nie metoda restauracji, nie byłoby bonapartyzmu. Zasady wolności politycznej miały w poecie szczerze wyznawcę od pierwszego poczęcia się Monarchii Lipcowej; pamiętny jest jego wiersz na Prawa Wrześniowe, który Francja późniejsza, i dzisiejsza nawet jeszcze, do serca wzięć-by sobie powinna. Polityka przewija się ciągle w tej poezji hugonowskiej. Po tylu i tak świetnych powodzeniach

w 39-tym roku życia, ujrzał Hugo przed sobą otwarte podwoje Akademii. W cztery lata później Ludwik Filip zamianował go parem Francji. Z tą nominacją łączy się wypadek gorszący — jedyna może skaza, jaka publicznie wystąpiła na obyczajach i prawości Wiktora Hugo; zresztą życie to przeszło do potomności czystym i dostojnym.

Goethe powiedział: — „Nur Lumpen sind be-seheiden“ i sam przez całe życie i w każdym stosunku głęboko odczuwał i szorstko wyrażał tę wartość, jaką mu geniusz jego nadawał. W. Hugo nie miał nic ze skromności Mickiewicza, Dantego, Milтона: owszem, starał się dowieść świata, że nie podpada pod ów wyrok getowski. Czując się mocarzem myśli i słowa, społeczną też osobistość swoją, to mieszkanie geniuszu, królewskim majestatem otoczył. Nie znał granic dla ducha swego, nie rozróżniał kierunków działalności; uważał się za uzdolnionego do polityki czynnej tak dobrze, jak był uzdolnionym do czynnej, tworzącej poezji. Mało już dziś znanym jest fakt, że w r. 1848 zamysłał o prezydenturze w Rzeczypospolitej Francuskiej i że istotnie, choć pośrednio tylko, kandydaturę swoją postawił. Założony przez niego dziennik *Evénement* usprawiedliwiał ten wybryk teorematem, że „poeta, jako odbijający w sobie obraz Boga, jest najodpowiedniejszym do rządów, które przeciw woli Boga urzeczywistniać powinny“. W całym przedsięwzięciu, prócz obu synów, dopomagali Hugo'owi Paweł Meurice i Teofil Gautier. Wyborcy dali kilka tysięcy głosów: wystarczyło to do kompromittacji. Działalność Hugona w zgromadzeniu narodowym Rzeczypospolitej była dość trzeźwą: bronił republikanizmu, ale odpychał socjalizm. Najpoważniejszym czynem politycznym jego życia jest głosowanie za wnioskiem Gréwego, dzisiejszego prezydenta Rzeczypospolitej, który w miejsce najwyższego naczelnika władzy wykonawczej proponował zamianowanie odwołanego prezesa ministrów. Przyjęcie tej propozycji byłoby ocaliło Rzeczpospolitą 1848 r.

Po zamachu przebywał Hugo na Jersey, a następnie na Guernsey, w willi Hauteville-house. Dopiero po upadku Napoleona powrócił do Francji; ojczyzna była mu równie wielką w niedoli, jak dawniej w chwale i potędze. Całe obłężenie Paryża przebył na miejscu. W zgromadzeniu zwołanem po wojnie należał do liczby tych 107, którzy głosowali przeciwko pokojowi. W tydzień potem zażądał uznania Garibaldeggo za deputowanego, a temsamem i obywatela Francji; wyszydzony, rzucił mandat. Czasy Komuny spędził w Brukseli: strącenie kolumny Vendôme wywołało w nim krzyk oburzenia. Tegosamego roku (1871) powrócił do Paryża i mieszkał w nim już do śmierci. Obierany deputowanym i senatorem, nie umiał pod koniec zachować się zawsze z należytą roztropnością w sporach i walkach — i nieopatrzniemi słowami podsycił radykalizm, tę najsroższą plagę Rzeczypospolitej.

Hugo jest przede wszystkim mistrzem słowa francuskiego; nikt tak wśród współczesnych językiem Francji nie władał, jak autor *Châtiments* i *Legendy Wieków*. Bogactwo wyrazów używanych przez niego było już przedmiotem umysłowych dociekań. Nie zrobił on może tego dla mowy swojej, co uczynił Słowacki dla naszej, ale w każdym razie miał twórczość w wysłowieniu, a przy naturze języka francuskiego trudniejsze zadanie, niż autor *Anhellego*. Drugim przedmiotem Hugo'na jest jest potężna, bujna, na ton wzniosłości ustawicznie nastrajająca się wyobraźnia; z wiekiem słabnąca, umiała ona jeszcze w dziełach późnej starości, w *Torquemadzie* i w *Roku 1793* błyskać ogromnymi pomysłami. Uczucie bezpośrednie, rozczułające, wstrząsające prawdą liryki bezwiednej, rzadko kiedy przemawia ze strun lutni hugonowskiej; prostota nie jest darem poety, naturalność nie trzyma talentu jego w karchach. Serce przemawia za pośrednictwem idei ułożonych rozmyślnie; nie odzywa się za pierwszym dotknięciem, w tonie bezpośredniego wyrazu. Nie był to geniusz harmonijny z doskonale astosunkowanymi władzami duszy, raczej nieporządnie zorganizowany, ale różniarami swymi ogromny, wypromieniający się dale-

ko i wszechstronnie, czujący potrzebę wejścia w świat i nawzajem wchłonięcia świata w siebie; był talent i duch, mający własną swą indywidualność i własny stosunek do całości zewnętrznej bytu. Hugo w wysokim stopniu posiadał tę exosmozę i endosmozę moralną, od siły których zależy potęga talentów i ich żywotność. Chociaż sztuka jako sztuczność w jego działalności poetyckiej obszerne zajmuje miejsce — nie był on jednak czczym tylko artystą, retorem, ale poezji swojej dawał rozległą wielką, wspaniałą z człowieczeństwa, z jego życia, z jego żywych trudów, znojów, radości i bólów. Nie ograniczał się na swoim narodzie; szedł z całym wiekiem swoim i więcej nad to: nieraz go prowadził. Kochający syn Francji, skorzystał z jej wielkości i stanowiska, równie jak z własnego talentu, aby się stać sławnym nawet u obcych i długie lata był przedstawicielem jej za granicą w tej Rzeczypospolitej umysłowej, która właściwie granic żadnych nie zna. Majestatyczna jego postać imponowała nawet Niemcom: po śmierci uczcili go wspomnieniami. Szczęśliwa Francjo! Są narody, w których więksi poeci umierali, a poza szczytłem gronem ziemiaków — nikt w Ludzkości całej nie pomyślał o nich, że odchodzą!

S. K.

GDZIE?

(z Heinego).

Wygnać bez dachu, gdy życia trud znoyny
Zakończyć: gdzie znaleźć przytułek dla głowy?...
Czy Zachód mi raczy dać kątek spokojny?
Czy Wschód mi wyciosa mój domek sosnowy?

Na skalnej wyżynie, czy w głuszy lesistej,
Czy w bitwie bez wieści, na krwawym okopie....
Na morskiem wybrzeżu, czy — wydnie piaszczystej
Dół obca mi ręka samotna wykopie?

Lecz ja wiem, — że wszędzie blask falą błękitną,
W niebiosach rozplonie nademną pogodny,
Zielone na grobie mym trawy rozkwitną,
Do snu mi kołysać wiatr będzie swobodny.

A. Mielleszko.

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA

skreślił Quis.

(Dalszy ciąg).

Janek tymczasem najął sobie mieszkanko na jednej z ustronnych ulic, umeblował ślicznie, dywanami wyłożył, wykadził, ogrzał, kwiatami i krzewami umiał, potem się w niem zamknął, jak ślimak w swojej skorupce, i przez zimę prawie za próg nie wychodził.

Przyjął do posługi starego służącego i przez niego od czasu do czasu przysyłał do mnie bilet z tą krótką inwitacją: „Wpadnij-no do mnie, jeśli masz wieczór wolny.“

Zastawałem go najczęściej w ciepłym szlafroku i pantoflach, w tureckim fezie na głowie, siedzącego w ogromnym wyściełanym fotelu, przy piecu. Na machoniowym stolczku stała zwykle cała bateria flaszek, flaszeczek, cała piramida pudełek, słoików, aparat do rozpylania rozmaitych soli.

— No, jak się masz? — pytałem stereotypowo po przywitaniu.

— Jak groch przy drodze; lecę się, jak widzi. Połknąłem całą aptekę.

— I lepiej ci?

— Albo ja wiem? spytaj mojego doktora.

— Czemu nie wyjdiesz na świat, na miasto, zobaczyć ludzi, zabrać znajomości...

— A mnie to na co? nie ciekawym nikogo. Poczekam do wiosny. Książek mi nie brak, „Kurjerka” mam; czego mi więcej potrzeba?... Nigdy mi tak dobrze nie było; ja się sam dziwię temu.

Przegawędziliśmy zwykle taki wieczór o rozmaitych rzeczach i rozstawaliśmy się znowu na tak długo, aż nowy bilet Janka naznaczył nową schadzkę, bo sam mi dał do zrozumienia, żeby go odwiedzać tylko na jego własne żądanie.

Dowiedziałem się od jego starego Pawła, że prowadził życie niejednostajne, często dziwaczył, po całych dniach z łóżka nie wstawał, choć mu nic nie dolegało, niekiedy znów w nocy się zrywał, kazał wszystkie lampy zapalać i chodził po pokojach, innym razem siadywał pociemku całymi wieczorami i w fotelu noc przepędzał, nie kładąc się wcale.

Czytał pilnował godziny do zażywania proszków i lekarstw, rysował czasem jakieś projekta architektoniczne, albo grywał na cytrze do północy i później.

Kiedy pierwsze promienie wiosny rozpogodziły niebo i ziemię, poszedłem odwiedzić go nieproszony, po dłuższym przeciągu czasu.

Zastałem samotnika zmienionego do niepoznania; położył, oczy mu jeszcze głębiej w dół zapadły, rozdrażniony był, skrzywiony; przywitał mnie kwaśno i ponuro.

— Cóż ci takiego?... gorzej się czujesz? — zapytałem go. Machnął ręką, usta wydał, i nie odpowiedział, ani słowa, zaczął chodzić w milczeniu po pokoju.

— Takie ładne powietrze: możebyś się wybrał na przechadzkę? — zaproponowałem mu po chwili.

— Ja się wkrótce wybiorę ztąd, ale ze wszystkim — odparł opryskliwie. — Pożegnamy się, mój drogi. Doktora wyrzuciłem wczoraj za drzwi, całą aptekę za okno, Pawła posłałem po paszport i za dwa, trzy dni wyjeżdżam.

— A to co znowu?... coż za nagła zmiana?

— Jakżeż ma być inaczej? Siedzę, jak grzyb pod kamieniem, grosz za groszem zjadam, nic nie robię, wygod nie mam żadnych... mógłbym tu zdechnąć, jak pies; nikt-by się o mnie nawet nie spytał.

— Dajżeż pokój, mój Janku — zacząłem z odcieniem urazy — nie kazałeś mi sam przychodzić, a teraz...

— Teraz co innego; przecież tobie wyrzutu nie robię, mówię w ogólności. Co ja tu wysiedzę?... próżnuję tylko i czas marnuję. Ja nie umiem tak bezczynnie życia pędzić. Zresztą spokoju tu nie mam; piec mi zaczyna dymić...

— No, wiosna się zbliża — zauważyłem.

— Kiedy jeszcze ta wiosna będzie!... łyżki strawy nie mam, ten stary balwan zepsuł mi się, zaniedbuje mnie, nie pilnuje służby. Tu za ścianą dyabli sprowadzili mi jakiegoś sąsiada, który bębni po całych dniach i nocach na fortepianie, — oka zmrużyć nie mogę. Co ja tu będę robił dłużej?...

— I dokądże myślisz wyjechać?

— Na posadę.

— Daleko?

— Zobaczysz.

Widziałem, że do ładu z nim nie dojdę dzisiaj; zły był, zdenerwowany, opryskliwy: więc wziąłem kapelusz i wyniosłem się.

— Bądź zdrow — mruknął do mnie na pożegnanie, jakby nie ten sam, który kiedyś tak się witał ze mną po latach piętnastu, jak brat z bratem.

Na drugi tydzień wyjechał rzeczywiście, ale Pawła zabrał z sobą.

— „Co ja tu tego starego trutnia mam zostawić — pisał do mnie w liście, który odebrałem na drugi dzień po jego wyjeździe — u nikogo miejsca nie zagrzeję; będzie się tulał po bruku?... to już go wolę wziąć sobie na kark, przynajmniej przyzwyczaił się do mnie i wie, jak mi co zrobić. Napiszę do ciebie po mojej instalacji na miejscu.

Nie mogłem zamarzyć o lepszej posadzie; żeby mi tylko kto nie pozazdrościł tego szczęścia! Odetchnę świeżym powietrzem.“

III.

Minęło długich kilka miesięcy, ale zapowiedzianego listu nie było.

Janek wpadł, jak kamień w wodę, — znaku życia nie dawał. Nie wiedziałem, gdzie się obraca, co porabia, jak się miewa.

— Ot, dziwak — myślałem sobie — może wrócił do Galicyi, może się znowu gdzie zakopał i zaczął na nowo kuraczyć.

Trapiła mnie tylko myśl, że mu się pogorszyć mogło, bo chrząkał w ostatnich czasach za często i na chrypkę się uskarżał.

Aż tu pewnego dnia odbieram z poczty list rekomendowany, a w liście szerokim i długim lamentacje mojego Janka, że nieszczęśliwy, że go lichy skusiło wyjeżdżać z Warszawy w jakieś bory i lasy, podejmować się pomiarów, a teraz miejsca sobie znaleźć nie może, wszystko mu dokucza, wszystko mu obrzydło i gdyby nie to mleko świeże od krowy i powietrze leśną wonią przesiąknięte, to byłby już dawno z tej jakiejsz Konopnicy uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Nabrałem o tem zaświeciu, zabitem deskami, okropnego wyobrażenia z opisu Janka, że mi zaś wolnego czasu trochę zbywało, a list jego kończył się zaklinaniem na wszystkie świętości i wspomnieniem starej przyjaźni, abym się ulitował nad nim i przyjechał go koniecznie odwiedzić — pojechałem.

Jak szyszka wśród zielonego mchu siedział sobie drewniany dworek wśród uroczego lasu na stoku góry, świeżutki, miłutki, nęcący swoim zewnętrznym wyglądem, a taki jakiś zaciszny, że na oko możnaby było całe życie w nim spędzić z uśmiechem na twarzy.

W tym dworku mieszkał „pan inżynier“, jak mi „w pałacu“ Konopnickim wskazano, gdym extra-pocztą zajechał przed ganek, na którym śliczne jakieś dziewczątka pieściło się z dwoma chartami i szczebiotało wesoło.

Pałac sam mi się wydał zamożną, obywatelską rezydencją; coś w rodzaju herbu z armaturą dostrzegłem nawet nad głównym wejściem.

Zachodzące sierpniowe słońce czerwonymi blaskami rozplomięło szyby w oknach, z wnętrza pałacu dolatywały dźwięki fortepianu.

Jakoś nie czuło się tu tego pustkowiecia i wygnania, o którym się Janek w takich jeremiadach rozwodził; zupełnie na co innego byłem po jego liście przygotowany.

W dworku, stanowiącym jakby oficynę pałacu, znalazłem tylko starego Pawła, dmuchającego zawzięcie w samowar.

Pocziwiec omal mi się na szyję nie rzucił, poznawszy po przywitaniu.

— To pan?... a jak to dobrze, jak to dobrze, że się pan tu wybrał do nas! — powtarzał rozradowany, drepcząc koło mnie drobnymi krokami — my tu pana już od tygodnia wyglądamy; ja tu już codziennie łóżko ścielę dla pana na wieczór i co rano kawkę gotuję na jedną osobę więcej. Niechże pan pozwoli do pokoju, ot tedy, bo i pokój osobny przygotowany, a jakże!...

Prawdę mówię: znalazłem dla siebie osobny gabinet urządony z wszelkimi wygodami, nawet z pewnym zbytkiem; przez otwarte okno zalatywał żywiczny zapach od strony lasy i słychać było świergotanie całej gromady wróbli, co obsiadła pobliskie krzaki i drzewa.

— I coż wy tu porabiacie? — zapytałem Pawła, znoszącego moje walizki.

— A-no rozmaicie — odparł z uśmiechem. — Pan całe dnie w lesie, tyki wstawia, z geometrą coś tam rysuje, a jak niepogoda to siedzi w domu i pisze, albo na cytrze gra. Dobrzeby było, jak w raj u innemu, tylko dla pana inżyniera — to otl... nigdzie dobrze nie będzie. I zdrowie mu się trochę poprawiło — z początku pokaszliwał, a teraz i kaszel stracił i gorączki, jak dawniej nie miewa. A ludziska tu wszystko ze złotem sercem!... Mo-

glibyśmy siedzieć, jak u Pana Boga za piecem, ale gdzie tu z panem inżynierem poradzić!.. Żyje, jak pustelnik, do dworu sam nie zajrzy, muszą trzy, cztery razy w niedzielę przysyłać, zanim pójdzie, a pani i panienki boi się, jak ognia piekielnego. Dziwaczy i dziwaczy coraz gorzej, ot bieda!...

Zaledwie słów tych dokończył z ciężkim westchnieniem, w otwartym oknie ukazała się głowa „pana inżyniera“, który jak *deus ex machina* zjawiał się na moje powitanie.

— No, przecież, przecież się wybrałeś marudziarzu! — zawołał z jakimś odcieniem radości i wyrzutu w głosie, wyciągając ku mnie ramiona za oknem. — Chodź-że, niech cię wytargam za uszy, żeś mi dał czekać na siebie tak długo!

Uściliśmy się serdecznie.

— Poczekaj, wejdę do pokoju — dodał, stawiając nogę na kłodzie pod oknem i jednym skokiem przeskakując parapet.

— Złodziejowi drogę pokazujesz — rzekłem z uśmiechem.

— To przecież moje drzwi — odpowiedział — zwyczajnie niemi wychodzę do lasu i wracam.

— A dlaczegoż tak, czy droga ci tedy wygodniejsza?

— Nie to, ale...

— Ale co?

— Ale nie potrzebuję się ludziom pokazywać na oczy; musiałbym przechodzić koło pałacu...

— A w pałacu ludożercy, czy smoki? — zagadnąłem, widząc, że się rozjaśniona chwilowym błyskiem twarzy Janka znowu chmurzyć zaczęła.

— Wolałbym, niż te baby ciekawe, co mnie podglądają, jak dziwoląga — odrzekł z niechęcią jakąś i grymasem na ustach.

— Bo ładnego chłopca widzą — zauważyłem wesoło.

Spojrzał na mnie z uśmiechem szyderczym, pokijał głową smutnie, i ręce założywszy w kieszeń, chodzić zaczął dużymi krokami po pokoju.

Kilka miesięcy pobytu na wsi zmieniło go; broda jeszcze dłuższa mu urosła, cera nabrała ciemniejszego koloru, oczy tylko zapadły głębiej i zpod gęstych brwi świeciły jakimś gorączkowym blaskiem, który gasiły z umysłu przymrużane powieki.

Zdawał się zdrowszym, ale smutniejszym jeszcze. Życie w tej leśnej głąsży, na pustkowiecu, rozstroiło go widocznie.

Zapadał mimowoli w zadumę; teraz, podczas najbardziej z pozorów ożywionej rozmowy ze mną o stolicy, o nowinach ze świata, wydał mi się jakimś roztargnionym, przymuszał się do swobody i wesołości.

— Tutaj pies urwałby się z łańcucha — mówił — cicho, nadno, pusto, człowiek żyć musi tylko z sobą samym i ze swoimi myślami, a to nie zawsze znośne towarzystwo. Ani z kim szczerze pogadać, ani do kogo słowa przemówić!

— Czemuż nie bywasz w pałacu?

— Czemu?... bo to ludzie nie dla mnie... Zresztą, powiem ci potem wszystko; zobaczysz, że mam słusność.

Po herbacie, kwaśnem mleku i kurczętach pieczonych na kolacyę, która mi wcale nie potwierdziła tak złej opinii Janka o owem zaświeciu i jego brakach, wyszliśmy do lasu, przejść się trochę i pogawędzić z sobą swobodniej.

Cisza wieczoru letniego zalegała ziemię, las drzemał i tylko z jego głębi, jak z piersi śpiącego olbrzyma, odezwał się czasem jakiś stłumiony głos, niby majaczenie przez sen; niekiedy daleko, daleko we wsi pies zaszczekał, albo turkot wozu jadącego gościncem dał się słyszeć, albo od strony pałacu przerwały ciszę niewyraźne dźwięki fortepianu.

Szliśmy tak przed siebie dość długo, zajęci rozmową, która stawała się dla mnie coraz bardziej interesującą.

Janek w swym szyderczym zawsze, pesymistycznym sposobie zapatrywania opowiadał mi o miejscowych stosunkach, o zajęciach, które mu całe dnie zapełniały, o pałacu, w którym mieszkał „pocziwy szlagon“, pan Żaliwski Hieronim,

zapłatany w processa spadkowe, o jego żonie drugiej i córce z pierwszego małżeństwa, pannie Tyni, jak ją powszechnie nazywano.

Dowiedziałem się z tych pomieszanych urywków, że Żaliwscy byli to ludzie zamożni, mieli majątek znaczny, który trzeba było tylko uregulować, stosunków wszelako z sąsiedztwem wielkich nie utrzymywali, żyli spokojnie, sprowadziwszy się odniedawna na wieś.

Janek mój przypadł im widocznie do gustu, pomimo swojej dziwacznej natury i zdziwienia; nie chcieli go traktować jak pana inżyniera, płatnego za pomiary lasu i gruntów, które były w proces uwikłane, ale poznawszy w nim intelligenego oryginała, próbowali wytrwale przyciągnąć do siebie, choćby tylko dla celów towarzyskich.

Pomimo ciemnego kolorytu, w jakim mi mój przyjaciel malował obrazek konopnickiego dworu i sylwetki jego mieszkańców, ci Żaliwscy wychodzili nader sympatycznie i ujmująco w jego opowiadaniu.

— A cóż ta panna Tynia? — zapytałem niby od niechcienia — ładna?

— Zapewne; nie znam się na tem. Blondynka z niebieskimi oczyma i zadartym nośkiem.

— Dobryś!... niby na nią nie zważasz, a wiesz, jakie ma oczy, i zadarty nosek dostrzegłeś?

— Cóż chcesz! Wchodzi mi w drogę bezustannie, to przy domu, to w lesie, niby z przypadku, to w kościele. Musiałem się jej w końcu przyrzec. Raz ją nawet przydybałem pod moim oknem jakiegoś wieczora; słuchała moich wariacji na cytrze... od tego czasu zamykam okno, gdy mi się na granie zbierze.

— Ileż ma lat?

— Ze siedmnaście; dobre jakieś dziecko, ale musiało się romansami na pensyi wykarmić, bo... Wyobraź sobie, pochwaliłem raz bławaty w jej obecności; na drugi dzień znalazłem na moim stoliku pomiędzy papierami coś niebieskiego. Patrząc — bławatek. Nie zwróciło to od razu mojej uwagi, ale na drugi dzień w temsamem miejscu znajduję znowu bławat, na trzeci to samo, a potem przez całe żniwa jakaś niewidzialna ręka obdarzała mnie codziennie bławatami; zawsze tajemniczo ten jeden kwiatek zjawiał się w mojej nieobecności na stoliku. Nareszcie spostrzegłem się, że stolik stał pod otwartym oknem i że widocznie panna, przechodząc, wrzucała mi te kwiatki do pokoju... Kazałem stolik przestawić w inne miejsce, żniwa się na szczęście skończyły, bławatków w polu zbrakło, więc mam spokój od pewnego czasu. Rozumie się, że odtąd moje wizyty w pałacu ograniczyłem do minimum. Tegoby mi jeszcze potrzeba, żeby sobie dziewczysko do głowy co przypuściło!

Wzruszył ramionami ze zgrozą.

— Ależ niewdzięczniku — zawołałem z oburzeniem — to cię taka sielanka miłosna nie wzrusza!

— Daj ty mi pokój z sielanką miłosną! — przewrwał mi opryskliwie. — Ja tu przyjechałem lasy mierzyć, ale nie z pannami romansować. Powiedziałem ci raz, że nie chcę słyszeć o miłości — i basta, i jeżeliś prawdziwy mój przyjaciel, nie wspominaj mi o tem nigdy, nigdy więcej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dalszy ciąg „Książki pamiątek“

N. ŻMICHOWSKIEJ

znaleziony w papierach autorki.

(Dalszy ciąg).

Ale też bardzo prędko w pokorę uderzyłem — oho, prędko, zaledwie skrzypce się odezwały — chociaż najpierw odezwały się tym samym dźwiękiem tłumionego poszeptu, który przy koń-

cu z ust Romualda uleciał, a nawet, że mu jeszcze wargi drżały słów wymówionych wzruszeniem, trudno mu było muzykę od głosu rozróżnić, zupełnie sprawy sobie zdać nie mogłem, czy on ciągle powtarza „miłości jej... miłości jej“ — czy to już struna wibruje pod jego smyczka dotknięciem — lecz wkrótce silniej nacisnął i nuty jedna za drugą do serca spadać zaczęły, nuty westchnienia, łezki, perełki — aż wreszcie zdaćby się mogło, że grecka nimfa przechyliła trzymaną przy źródle urnę swoją marmurową — strumień pieśni rozlał się szeroko najprzeczystszy kryształ — i płynął w głąb duszy i przepełniał ją dziwną słodyczą, ułaganiem, tkliwością — chciałoby się ręce wyciągnąć, prosić wysłuchać — smutek utulić, dziecię jakieś popieścić — białą skraj szaty anielskiej ucałować... a pieśń płynie i rośnie — przebiega całą skalę najwyższych i najniższych tonów — jasna — głośnie — wyraźna — już nie rozrzuca nieprosi, rzekłbyś raczej, że cię wspiera, że taką, jak przysięga, pewnością utwierdza. Jest w niej pewne przypomnienie wieczornego hymnu Helusi, lecz bogaciej rozwinięte i z większą męzkością wydane. Tam, w odosobnionych kadencjach artysta szedł jedynie za przywództwem uznanej myśli — godził się z nią — dopełniał jej czasem — tutaj, ośmiadł jako swoją, kazał jej wezbrać potokiem harmonii — kazał trudności łamać — niepodobieństwa pokonywać. Temat był prosty i surowy, jak prawda — ale forma jego to podziwem, to obawą, to uwielbieniem przejmowała. Nieraz, gdy wyciągnął dźwięk osobliwy, tuż przy krańcach możliwości artystycznej drgający, mnie prawie tchu w piersiach nie stawało — bo to mi mniej ni więcej, tylko jakoby lunatyk wstępował na stromy cypel lodowatej góry i ponad samą przepaścią niezachwianym szedł krokiem — niech atom śniegu zpod nóg się usunie wiatr najłżejszy — niech powienie, już rozbicie — już fałsz — jeno krzyknąć i uszy zatykać... a Romuald ciągnął śmiało, przesuwał się po tym dźwięku jak dusza sprawiedliwego po ostrzu mieczowem do raju Mahometa, i chwilę tylko wśród wonnych kwiatów spocząwszy, znowu się zuchwale ze szczytów w otchłanie przerzucał — znowu duchy najsprzecznijszych zywiołów do zwycięskiej walki powoływał. Rycerz bez skazy i bojażni w państwie pieśni i tonów, kiedy w gromki głos uderzył, to czoło się chyliło mimowolnie, kiedy zaczął pasaż, tremolanda, arpedżya masami na wszystkie tony rozmiatać — to się czuło — wyraźnie się czuło, że człowiek radby tej dzielnej, tej nieomyślnej prawicy zaufać — gdyby skinęła: „pójdź za mną“ — poszedłby bez namysłu i dałby się prowadzić wszędzie przez góry i doliny, przez lasy i pola, przez pustynie samotne i przez tłumy zbrojnych wrogów. „Co tobie po miłości jej?“ — pytałem zaniepokojony przed godziną może — w tej chwili już wiedziałem — już to przyjąłem za konieczność losu i nie mię nie gniewało, nie trwożyło, nie oburzało. Z miłości Helusi miała być coraz piękniejsza muzyka...

Wtem, gdy ja tak słucham zachwycony, pochłonięty... nagle kwinta wrzasnęła przeraźliwie. Romuald skrzypce na stół cisnął, że aż jęknęły, i sam blade, ze łzami w oczach na szyję mi się rzucił.

— Ludwiku! mój kochany Ludwiku, nie wyjeżdżaj! zostań się, zostań z nami — prosił, naprzykrzał się jak dziecko...

Przez pół sekundy odurzałem zupełnie — Romuald mię tak kocha! Romuald błaga o przedłużenie mego pobytu... niewiele brakowało, bym i ja się rozplakał; lecz mię natychmiast wszelka zarozumiałość odstąpiła — jeszcze on głowę wspartą na mojem ramieniu trzymał, gdy już zgadłem o co mu chodzi. Żał mi się go zrobiło okropnie — przytuliłem do siebie tem serdeczniej, w jasne skronie ucałowałem tem tkliwiej — lecz zniezachwianą stałością chociaż z smutkiem głębokim.

— Nie, nie mogę zostać, mój Romualdzie — odrzekłem.

Romuald wysunął się z mych ramion, stanął o parę kroków, popatrzył mi w oczy i z oburzeniem prawie zapytał:

— Dlaczego nie możesz?

Przymusiłem się do lekkiego uśmiechu.

— Co tam tobie w chwili szczęścia i dobrego natchnienia o takie niepotrzebne bagatelki się pytać. Nawet-bys mię nie dosłuchał, jakbym ci zaczął rozpowiadać o stanie mego procesu, o gospodarstwie naszej wioseczki, o hypotekach, płodzmianach...

— Mów o sobie samym, to cię dosłucham i lepiej ci uwierzę.

Nawet gdybym o sobie mówił, tobyś mi nie uwierzył, Romualdzie, nie zrozumiałbyś... I zatrzymałem się. Wypowiedzenie, czegooby on-to nie zrozumiał, zbyt wiele mię kosztowało — żadne zgłoski jakoś nie pasowały do tej boleści, która była hardem poczuciem doznanej krzywdy i słamazarą tęsknotą zarazem — dumą moją i upokorzeniem mojem.

— Muszę odjechać — dorzuciłem tylko po chwili jeszcze pewniejszym niż z początku głosem.

Kiedy Romuald potrzebował kogo, kiedy chciał co otrzymać, to nie było w całej Angorze pieszczotliwszego, miększego, układniejszego koteczka; sił swoich nie rozdawał na miłość własną i pożądanie — miłość własna szła na bok, on całą, nierozdzielną wolą swoją dał się na upragnionego cacka — choćby mu sto razy nad uchem krzyczano: „fe! to niegrzeczność! to niedelikatność! powinienbyś się wstydzić!“ — jemu bynajmniej wtedy o punkt honoru nie chodziło — chciał dostać, chciał mieć, chciał osiągnąć; żaden sposób go nie upokarzał wtedy, żaden postronny wzgląd nie zatrzymywał — przymilał się, wdzięczył, rozrzucał, całował, prosił, nie zrażał się odmową, a tak mu to jakoś szło gładko i wdzięcznie, że nikt się nie mógł zgorszyć natręctwem — że chyba ja tylko i wtenczas tylko mogłem się oprzeć czarownikowi.

— Ludwisiu! — mówił do mnie swoim najśłodszym głosikiem — co tobie jest, Ludwisiu? widzę żeś smutny — przezuwam jakieś głębokie zmartwienie w twojem sercu, a ty mi nie powiadasz — jabym ci własną pierś otworzył, w sumieniu dałbym ci czytać jak księdzu lub bratu rodzonemu — ty mi nie chcesz przyjąć za brata...

O! mag chaldejski! jakich-to on umiał wyrzów do swoich zaklęć i zamówień używać!... na nieszczęście, w owej chwili święta formułka zupełnie odwrotną mocą działała — ja go nie chciałem przyjąć za brata...

— Nie, Romualdzie, braćmi być nie możemy — wycisnąłem nakoniec ze zduszonego niby żelazną obręczą gardła — niema równego działu w majątku naszym: tybys przynosił szczęście, sztukę, wesołość i dobre wieści do podziła — a ja czosć, nudę tylko, zgryźliwy morał lub dyssonans nieczesnej przestrogi. Nie, my nie braćmi, Romualdzie, ale ty zawsze moim będziesz do pewnego stopnia suzerenem duchowym; przyniosę ci w ofierze wszystko, co będę mógł zebrać z mego ubóstwa, złożę wiernie dziesięcinę ziarna i owocu — pozwól niech sobie jedynie chrusty, suchą słomę i plewy zostawię.

— Czy myślisz, że mi te piękne słówka na odczepne wystarczą? Mylisz się bardzo, panie Ludwiku — odparł trochę rozdąsany, a trochę jednak niemi przekupiony artysta. — Nie chcę być ani twoim, ani nieczym suzerenem bałwankiem, kwituję z ofiar i dziesięcin wszelkich, lecz kiedy kogo kocham, to się dopominam, żeby mnie kochał także — jak go o co proszę, niech mi zrobi, a jak go co zaboli, niech mi powie otwarcie.

— Przecież to nikt serdeczniej kochać nie może od matki — a właśnie dlatego, że kocha, bardzo często prośbom dziecięcia odmawia i ze swoją troską przed nim się ukrywa.

— Szkaradny Ludwiku, czy ty nie postrzegasz nawet, jak mi ciągle impertynencye wygadujesz, przezywasz od suzerenów, od dzieciaków?! — Nie wiem na czem skończysz a wszystko to dla ukarania chyba wielkiej winy mojej, że ci chciałem ulżyć dżwiganego ciężaru i rozjaśnić aby promykiem jednym chmurniejsze od bieżącego Października czoło. Domawiając ostatnich słówek na miód stopionym, czyli też na cukier skryształizowanym, tonem, — Romuald znowu mi ramie na szyję zarzucił i patrzył w oczy, jak magnetyzer albo kobieta zalotna.

Przyznaję, że musiałem pewną siłę z siebie wydostać, by te uroki odczynić — wiedziałem, co

one znaczą, pobudka najprzyjaźniejszych oświadczeń wcale mi tajną nie była — ani też dziwnem nie było tkliwe miłosierdzie Romualda, który zwykle od smutnych, jak od zadumionych, uciekał. Może być, że w owej chwili czując się szczęśliwym, poczuł się także i nieco lepszym, żywiej współczującym — ale główne tło całej owej dobroci stanowił zawsze tensam, nieswiadomy siebie egoizm, i chęć pociechy i braterstwa i wszystkie czułości do jednego mianownika sprowadzone, znaczyły po prawej stronie: — „Mój kochany Ludwiku, ciesz się, bo ja wesół — niech ci nic nie zawadza, bo mnie już jest dobrze“ — a po lewej to jeszcze prostszym wyluszczały się sensem: Romuald zgadywał, że jakieś zmartwienie jest mego wyjazdu przyczyną — mój zaś wyjazd w obecem rzeczu położeniu wcale mu był nie na rękę, utrudniał bardzo i w pół rozrywał prawie bliższe stosunki z Helusią. Każde więc pocałowanie, każde spojrzenie Romualda mówiło tylko: — „Nie smuć się i zostań“ — ja też po chwili milczenia raczej na myśl jego cicha, niż na głośne odpowiedziałem wyrazy:

— Nie mogę, nie mogę zostać.

Romuald arcy-naiwnie uznał stosowność takiej odpowiedzi — nic go to nie zastanawiało, że się z tem, co do mnie przy końcu mówił, nie zgadzała; lecz, że się nie zgadzała z tem, czego pragnął, to go do wielkiej niecierpliwości przywiodło. Osunął mnie z uścisku, zakręcił się parę razy po pokoju, a wreszcie rzucił się na fotel przy oknie stojący i twarz rękoma zasłonił. Zdało mi się, że płacze — serce mi jakoś rozmiękło. Czyż doznany przeze mnie zawód i w jego szczęściu ma być przeszkodą?... jakaby tu radę znaleźć? czem go pocieszyć?... wszakże Marya Regina kocha Helusię — mogą coraz więcej się zbliżać, coraz rodziniej zaznajamiać... a gdy ja tak dobieram uspakajających przypuszczeń, Romuald nagle w tył głowę odrzuca i, nie ze łzami wcale, tylko z tryumfującym uśmiechem, patrząc na mnie, w ręce klaszcze i woła:

— Bravo, Ludwiku! nie możesz zostać? — odjeżdżaj! Właśnie mi teraz osobnego do pracy potrzeba mieszkania — wynajmę po tobie te śliczne ciche pokoje — napiszę mój wielki kwartet koncertowy, sprowadzę sobie fortepian, zacznę Helusię uczyć muzyki...

Zdrętwiałem przy wyliczaniu tych szalonych projektów — on się niemi po swojemu rozmarzył, a że milczałem, pewnie zaraz zastosował przysłowie: — „kto milczy, zezwala“ — snuł więc dalej złotą przędzę swych urojeń:

— Wcale mi o to nie chodzi, żeby kiedyś biegle grała na fortepianie; niech tyle umie, ile do śpiewu potrzeba. Śpiew to jej posag, to jej przyszłość nieunikniona — już widać Bóg ją stworzył dlatego, żeby ludziom śpiewała. Ty może niedość jesteś z tajemnicami sztuki oswojony, ja wiem dopiero, co za przecucie prawideł, co za instynkt umiejętności w tym talencie leży! jak ona włada oddechem! jak frazesa rozdziela! jak je cieniuje misternie! Powiadam ci: to skarb i przeznaczenie. Ma się rozumieć, że solfiowania spróbujemy zaraz — nauczyciela nie przywołam na pomoc — niebezpieczni ludzie, gdyby się z takim zachwycającym bogatym głosem spotkali, wnet-by im się chciało cudów dokazywać i zepsuliby mi go może — nadwierzeli, umanierowali — oh! nie pozwolę — sam będę pielegnował pierwsze początki, a później... według mego zdania, nie godzi się czasu tracić, cpo prędzej do Włoch jechać należy... we Włoszech...

I Romuald nie dokreślił świetnych swoich planów; z ostatniem słowem w inną sferę uleciał. Jestem pewny, że go otoczył cudny auzońskiemi ziemi krajobraz, nad jego głowę rozpostarło się szafirowe, bez żadnej chmurki niebo, dokoła gałęzie cytryn i pomarańczę zawoniały, a on z Helusią przy boku siadł kędyś w cieniu złamanej kolumny — czy śpiewu słuchał, czy serca jej uderzeń — to wiem tylko, że twarz jego inny przyoblekła wyraz, rozśmiecnięta bez uśmiechu, rozcieplona niejako bez wyraźnego rumieńca, zawisała na chwilę w nieruchomej, senliwej błogości.

— Ja myślę, że nic z tego nie będzie — zdobyłem się wreszcie na odpowiedź — ty, Romualdzie, mieszkać tutaj nie możesz.

Gdybym go był ukąsił, toby mu jeszcze tak błyskawicowo rozmarzone jego oczy gniewem nie zamigotały.

— A to czemu? — syknął z bólem prawie, jeśli nie ze złością gwałtownie powściągniętą. — Mogłeś ty mieszkać, mogłeś ty leżeć dawać, któżby mnie zabronił? co uchodziło tobie, młodszemu, czemuż mnieby ująć nie miało? co dla ciebie było przyzwoleniem, czemuż dla mnie ma być gorzszym?

— Istotnie, Romualdzie, według zewnętrznych okoliczności, takieżsame prawa nam służą; jednak zdaje mi się, że wewnętrzne nasze usposobienie stanowczą między niemi rozkreśla granicę. Ja się nie kochałem w Helusi.

— A to logika! Ludzie, co się nie kochają, powinni być razem, a ludzie co się kochają, powinni być zdaleka!... Jeśli w tej zasadzie jest sens najmniejszy, to mię przez okno wyrzuci, Ludwiku!

— Niech mię Bóg broni! nie popełnię takiego grubiaństwa, ale z wszelką względnością raz jeszcze ci powiem, że jest sens — jest, według miarę dzisiejszego towarzystwa i dzisiejszej moralności. Wiem, że mnie, młodszemu, takie poważne słowa śmiesznie na ustach wyglądają; nie powstydzę się ich przecie — żaden sofizm i żaden żarcik nie zmieni we mnie poczucia jasnej prawdy. Dziwi mię tylko, że ona tobie wydaje się tak wielką niedorzecznością — tobie, co masz siostrę i co możesz lepiej, niż kto inny, warunki życia kobiecego na świecie zrozumieć.

— Ja to rozumiem tylko, że jeśli Helusia „może mię kochać“, powinno być jej dobrze ze mną — a inni ludzie niech się o nas nie troszczą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 30 Czerwca 1885 r.

Wystawa doroczna Sztuk Pięknych. — Miernota i ubóstwo. — Polscy artyści na tej wystawie: Malarze: Brandt, Chełmoński, Przepiórski, Gąsowski i Merwart. — Snyce: Godebski, Rosowski, Boryczewski, Hegel, Rapf, Marcinkowski. — Rytownicy: Konarski, Jasiński, panna Płużańska. — Rysownicy: panna Bilińska, Dziekońska, księżna Jabłonowska, Duchńska, pp. Ostrowski i Rejchan. — Śmiertelność na wyżynach. — Pośmiertne wspomnienie o Toussenu i kilka szczegółów z jego biografii. — Szkoła naturalistyczna w wielkim świecie. — Piśmiennictwo w budoirach pańskich. — Różne różności.

Zapewne, wszystko na świecie jest względne, i gdy porównamy tegoroczną wystawę paryżką Sztuk Pięknych, z wystawą, przypuścmy, naszą przewagą ilości i jakości zostanie bezzaprzeczenia na stronie Paryża. Ale te względne stosunki nie dowodzą prawdziwej, rzetelnej wartości. Jest to czczy pozór — i zbłądziłby krytyk artystyczny gdyby poprzestał na tem.

Absolutna prawda jest, że coraz bardziej zstępując ze wspaniałych wyżyn, doszliśmy tu do takiej miernoty, iż pióro z ręki wypada, a zniechęcenie głębokie zalewa serce: człowiek nie ma ochoty, nietylko pisać o tem, ale nawet patrzeć na to. Nie myślcie, aby to było jakieś pesymistyczne chwilowe usposobienie moje. Jest to głos powszechny. Wystawa tegoroczna pokazuje taki brak uczucia, myśli, twórczej wyobraźni i wyższego podniesienia ducha, wogóle u wszystkich tutejszych artystów, że nawet techniczna biegłość i wprawa nie potrafiły ich wyratować z upadku. Przeciwnie, ta biegłość i wprawa pokazują raz jeszcze, że jak modlitwa bez dobrych uczynków, jest jak ptak bez skrzydeł, tak sztuka bez natchnienia i wyższej dążeńności czołga się po ziemi i jest tylko błyskotką, ozdobą, ornamentyką, ale nie ową mistrzynią, co porywa, unosi i uczy człowieka.

Nie chcę więc zawałać tych kart natłokiem imion i obrazów, w których nic moich czytelników ani dotknąć, ani poruszyć nie zdoła. I nawet zamilczalbym zupełnie, gdyby nie ta okoliczność, że są tu również imiona i obrazy polskich artystów. A choć i oni giną w ogólnym potopie, przecie dlatego, że to Polacy, że swoi, wycią-

gam ku nim braterską rękę: ratuję, jak mogę... bez żadnej wszakże nadziei, abym im przywrócił życie, bo o sławie nie może być mowy. W takim razie należałoby nie zapominać: że *nomina sunt odiosa*. Ale ja tak bardzo ich wszystkich miuję, tak pragnąłbym ich uwiecznić i uwiecznić, że mi chyba wolno i nazwiska ich odsłonić.

Nie przez patryotyczną pobłażliwość, nie przez osobiste względy, ale sprawiedliwości gwoli, wyznaję zaraz na wstępie, że w tej liczbie polskich artystów są tacy, którzy się obejdą bez mego ratunku i sami wypłyną na wierzch, bo dla nich czy to paryżka czy jakakolwiek inna wystawa nie jest żadnym szkopułem i przepaścią i dzieła ich potrafią zawsze zatrzymać i uwiecznić, choćby niewiedzieć jak płochą i uprzedzoną, uwagę publiczną. Dla nich więc mamy zawsze gotowe do pochwały pióra i serca gotowe do uznania prawdziwej wartości.

Czaban z trzodą owiec zaskoczony przez śnieżną zamięć, obraz Józefa Brandta, zachwylił nas prawdziwością, z jaką artysta potrafił nam przedstawić tę straszną grozę na czystym i białym całunie śniegu. Tam gdzieś w dali, w тумanie, biedne zwierzęta cisną się w kupę, przed okropną grozą. Zakłopotany czaban wygląda z przestrachem zpod wąskiego szalasu; koń zmrożony tuli się do woza, psisko wyje ponuro, tak się zdaje przynajmniej z jego postawy — dramat jest w całej swej sile. Nie mówię już o blasku i potężde kolorytu tego obrazu, bo to jest przymiot, którym ten artysta odznaczał się zawsze. Ale dodam, że nas zachwylił w tym obrazie sposobem, jakim się wywiązał z trudnego zadania malarskiego, przedstawiając tak dramatyczną scenę wśród śniegu. Oprócz samego pomysłu, który gwałtownie porywa uwagę widza, są tu jeszcze, jak mówiłem, trudności techniczne: ta równa i biała płaszczyzna pokryta jednostajnym śniegiem, to światło przyćmione zawieją. Otóż wszystko to zostało rozwiązane doskonale i artysta podołał wszystkiemu. Miło nam było to oglądać i powiedzieć, że i śniegi rodzinne, jak dym rodzinny, są miłe dla serca.

Cztery konie! tymrazem siwki — poznaliście Chełmońskiego. Dyable drogi, fantastyczne bryczki, w powietrzu lecące pegazy. Nie nowe to dla was i dla nas — ale *sempre bene!* Bo choć o koniach Chełmońskiego można powiedzieć z Olizarowskim: — „Kto chce wiedzieć, jak plectwo powietrzne lata“, chociaż zawsze są one w obłokach: przecie nie przestają być końmi i jest w nich to zacięcie, ten styl, który niemal mówi do patrzącego, że Chełmoński urodził się na siodle.

Kiedys, dawno już temu, witając artystę nowoprzybyłego na paryżką wystawę, zapowiadałem mu przyszłe powodzenie i ludziem się nadszedzia, że, zachęcony serdecznym powitaniem, przybysz użyje sił wszystkich, aby nie zostać lłuznym względem tak szczerych i dobrych usposobień. Nie omyliłem się zupełnie na moich nadziejach i w moim oczekiwaniu. P. Przepiórski zdolnością i pracą wywikłał się z tych pierwszych trudności, jakie każdy artysta spotyka na swej drodze, póki nie zawnadnie nakoniec wszelkimi sposobami i zasobami, których mu udzieliła natura. Dziś jest on już na tym punkcie, z którego może obejrzeć całą wielkość swojego artystycznego zadania — próby i poszukiwania są skończone; teraz czekamy na dzieła, które nam pokaże ostatecznie, czego się możemy spodziewać. Jego *Kupiec wschodni* jest to jeszcze jakby rozprawa tylko na doktoryzację. Mamy przed sobą obrazek, dobrze i zręcznie malowany, posiadający wielkie zalety kolorytu, rysunek poprawny — a więc... szczęść Boże! Teraz czekamy tylko, aby nam autor tego obrazu dał prawdziwą miarę swojego talentu, rozkrępowanego już zupełnie z akademickich pieluch.

P. Gąsowski jest artystą, o którym mówiliśmy już nieraz. Jego spokojne morze, w odpływie, w cichej zatoce, ma ten wdzięk szczególny, który nawet malowane morze wywierza na ludzi. Ale nie dosyć, jest obrazie, gdzie artysta ma do czynienia ze spokojnem obliczem natury, nie dosyć jest — rysować poprawnie i malować umiejętnie. Tam, gdzie człowiek żyjący nie

ożywia tej martwej natury, aby zdobyć pierwszeństwo, potrzeba tego świętego ognia, o którym powiada Horacy, że go zuchwały ród Jafeta porwał *fraude mala*. Potrzeba tej niesłychanej potęgi, jaką posiadali Klaudyusz Lotaryńczyk, naprzykład, i owi flamandzcy malarze, u których jakby stopione złoto i srebro zieloność i błękit potokami się lały zpod pędzla i kryształili na płótnie. A tu widzimy tylko farby i sztuczne podejście, któremi malarz pragnie schwytać naszą dobrą wiarę. Tego niedosyć! I bardzo szczęśliwie, że artysta, człowiek zamożny, temi środkami zapełnia sobie swoje *otia*.

P. Merwart, sobie za przedmiot obrazu *Gimnastykę Strzelecą*; wygląda to zupełnie, jakby studium z pracowni, tembardziej, że p. Merwart, nie mając zalet malarza kolorysty, żadnem złudzeniem oczu nie może okupić braku pomysłu. Portret bardzo małych rozmiarów tegoż samego malarza, jeżeli ma zaletę podobieństwa, ta mu nie przychodzi, ani wartości, ani artystycznego znaczenia; bo osobistość, której nam podaje rysy, odznacza się właśnie tą brzydota wyrażenia, przykrzejszą i wstrętniejszą nawet nad brzydota rysów. Ten portret przedstawia p. Armanda Silvestre'a; jest to jeden z tutejszych poetów—jeśli naśladowanie wierszem wszystkich językowych licencji Zoli, może się nazywać poezją! Wszystkie paskudztwa, jak je nazywa sam Zola widać na tej twarzy zarumienionej nie wstydem, ale chucią—w tych oczach, które wydają się zażawionemi przez jaką myśl nieczystą, i na tych ustach, które zwały się błotem.

Wolę już *portret pani Gagneur*, przez tegoż Merwarta, chociaż ta akwarella, nie ma ani tego blasku, ani tej werwy, jaką się zalecają akwarelle tutejszych malarzy, a przed innymi p. Lemaire, ale wolę, bo to oddycha uczciwie.

Jeśli od malarstwa przejdziemy do rzeźby, tu jeszcze mniej pociechy dla serca, bo oprócz *popiersia Doktora Wrotnowskiego*, wykonanego, przez naszego, dobrze już czytelnikom znanego, artystę Cypryana Godebskiego, resztę zapisujemy tylko *pro memoria*: p. Rassowski: statuetka muzy, której największą zaletą jest chyba poświęcenie jej wieźniowi z Magdeburga; p. Boryczewski: popiersie z gipsu; p. Hegel: dwa popiersia bronzowe; p. Rapf, portret w medalionie; pani Godebska: głowa marmurowa, studium artystyczne, i na koniec p. Marcinkowski: statuetka i dziesięć medalioników Polaków mieszkających w Paryżu. Wogóle rzeźba nie celuje. Czy znajdzie się narazie w pocie naszych rzeźbiarzy przyszły twórca pomnika Adama Mickiewicza, któryby dał dzieło godne wielkiego geniuszu?

Skromniejsi liczbą i tworam, rytownicy polscy nie przynoszą, przecież zakały na tej wystawie, prace p.p. Konarskiego, Jasińskiego i panny Płużańskiej zasługują na uwagę, na słowo pochwały i zachęty.

Zostaje do powiedzenia jeszcze słówko, o rysownikach; to najslabsza strona! Wiele dobrych, najlepszych chęci, ale tylko chęci... Węgłem robiony obraz panny Anny Bilińskiej jest może najlepszy ze wszystkich. Widać tu przynajmniej łatwość i wielką wprawę. Pastele panny Dziekońskiej, księżny Jabłonowskiej, p. Leona Ostrowskiego, są to *pia desideria* sztuki. Lepiej przedstawiają się portrety panny Duchńskiej, a rysunki Rejhana do ilustracji *Safo* są nawet znakomite.

I na tem koniec! Wszyscy tu wzmiankowani artyści przynoszą nam świadectwo życia swą pracą. Są między nimi wybrani, a Brandt na ich czele. Nie zamięwamy wprawdzie obcych, ale powiedzmy sobie i drugim, że jesteśmy na dobrej, na szerokiej drodze. *In magnis et voluisse sat!*

Tymczasem śmierć gruby zbiera podatek, tutaj i u sąsiadów naszych. Nigdy, tyle wypadków nagłego, a niespodziewanego zejścia nie widziano, w tak krótkim czasie. Za Wiktorem Hugo poszedł Leon Renier, sławny epigrafista francuzki; po nim zmarł Admirał Courbet, szczęśliwy zwycięzca Chińczyków, jeden z tych kosiarzy, których pamięć na długo zostaje w pamięci zwycięzców i zwyciężonych. Niemcy na koniec oplakują stratę księcia Karola Fryderyka i Feldmarszałka Manteuffla. Tam znaleziono tylko pochwały

i wieńce dla tych straszliwych pogromców; tutaj biją się przy trumnie wielkiego, jedyne go ze szczęśliwych i dzielnych wodzów—biją się w imię przyszłych wyborów, nie troszcząc się czy tem błotem zgnilizny nie obryzgają trumny zmarłego.

Ale nie moja to rzecz troszczyć się o to, co się dzieje w sferach politycznych; nie od dziś to już boli, patrzeć na to jakby obłąkanie powszechne. Cóż znaczyć może mój głos, wśród tak szalejącej rozpusty—mniej niż wiatr co wieje; a więc dajmy temu pokój. Lepiej powiedzieć tu słów kilka, o jednym z tych mistrzów pióra, którego imię dziś już przyémione trochę, miało w swym czasie wielki rozgłos i przeniknęło wraz z jego dziełem do najdalszych sfer intelligencji ludzkiej. Tłómaczono go na wszystkie języki, naśladowano, okradano nawet, nie mogąc przecież zburzyć tego monumentu, które jego silne dźwięgnęły ręce i dla siebie i dla tych maluczkich i ubogich, których on ukochał, uważał za najlepszych swoich przyjaciół, dlatego, bo znał ich gruntownie.

Ostatniego dnia zeszłego Maja, w ośmdziesiątym drugim roku życia, zmarł Alfons Toussenel, autor powszechnie znanego dzieła: *Rozum zwierząt* (*Esprit des bêtes*). Fizycznie i moralnie była to znakomita postać i wszyscy Paryżanie znali dobrze kochanego Toussenela. Fizycznie ten wyniosły i potężny starzec wyglądał na dymisjonowanego oficera kawalerii, a oto jest najpodobniejszy portret Toussenela, przez jednego z jego przyjaciół. „Twarz opalona, biały wąs, urywany ton mowy, gwałtowność poruszeń i wypłowiata wstążeczka Legii Honorowej w pętlicy, dawały mu ten dziwny pozór człowieka, co długie lata proch wachał i nie jedne łby płałał. Pomimo 80 lat wieku, codzień odbywał pieszo długie wycieczki, w jakąkolwiek pogodę, a kiedy nareszcie wieczorem wracał do domu, zdawało mu się, że był żywszy i rozmowniejszy i silniejszy, niż kiedy. Był to opowiadacz niezrównany, a przecież te jego gawędy nie nużyły nigdy słuchacza, tak były osobiste, tak zawsze nowe i tak pełne niespodzianek.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ŻYCIA WIKTORA HUGO.

Z miłością, którą należy szanować, zbiera Francya wspomnienia po wielkim swym poecie. Każde jego słowo, każda myśl, zostają teraz podjęte i jak brylanty, klejnoty najdrogocenniejsze składa się to w skarbcu literatury narodowej. Entuzjazm ten doszedł niejednokrotnie do przesady i nieraz ze śmiesznością się zetknął; wiemy jaki był pierwszy wyraz, który Wiktor Hugo w pieluszkach wymówił, a sekretarz jego Lesclide, wydał u Dantu gruby tom pod tytułem: *Les propos de table de Victor Hugo*. Ale drugostronnie nawet nie Francuza interesują te różne wypadki i zdarzenia, wplatające się w życie poety, który przetwarzał je sobie na wrażenia, wedle właściwości swego ducha, ale które niemniej dawały swój koloryt jego wyobraźni i uczuciu, więc oddziaływały na jego twórczość poetyczną. Wiktor Hugo był synem żołnierza napoleońskiego, z rodu starej szlachty lotaryńskiej—generała i hrabiego Cesarstwa, Józefa Leopolda Sigisberta Hugo; matka była Bretonką, córką armatora z Nantes, i było to zmieszanie nietylko dwóch starych ras, składających naród francuzki, ale dwóch prądów uczucia i patriotycznych pojęć tego narodu. Ojciec był rycerzem Rewolucyi, złożył szpadę w 1815 r.; matka, namiętna rojalistka, gorąco przywiązana do wszystkiego, co Rewolucya waliła; i można też powiedzieć, że Wiktor Hugo, poeta antytezy, spotkał się z antytezą otwierając oczy. Urodził się w Beaugon mieście hiszpańsko-francuzkiem w 1802 r., gdzie ojciec jego, wtedy pułkownik, stał załogą. Trzeci syn, przyszedł na świat dzieckiem tak słabuchnem, że nikt, prócz matki, nie wierzył, aby mógł żyć. Ona wierzyła z namiętnym uporem miłości, i wyhodowała u piersi swojej, wle-

wając z mlekiem tej piersi, i z jej ciepłem nigdy niestygnącym, życie w dziecko „białe jak opłatek“ i tak słabe, że do piętnastu miesięcy główeczka nie mogła utrzymać się o własnej sile. I z tego to dziecka wyrósł mężczyzna silny, który żył lat 83—wielki człowiek!

Rodzina pułkownika Hugo wieść musiała życie koczownicze, posuwając się za ruchem wojsk Napoleona i jego braci. Mały Wiktor wkrótce po urodzeniu został zapisany tak, i jak dwaj starsi, do „dzieci żołnierskich“ i rodzina miała zawsze i wszędzie wyznaczane sobie kwatery, jako należąca do armii. Pierwszym językiem, jakim mówił przyszły poeta Francyi, był język włoski; pierwsze wyraźniejsze wspomnienia jego dzieciństwa mają za tło Włochy—stary marmurowy pałac w Kalabrii, tak kiedyś wzruszony z posad przez trzęsienie ziemi, że jedna ściana—właśnie ściana dzieciniego pokoju synów pułkownika Hugo, teraz gubernatora prowincyi Avellino, miała w poprzek szparę, przez którą chłopczyna, mający być kiedyś geniuszem, wyglądał na otaczające go góry i wąwozy. Pałac wznosił się na skalistym urwisku ponad przepaścią; wiatr naniósł tu dość ziemi, aby skaliste załomy porosły zielonością, lasem leszczynowym: chłopcy Hugo czepiali się gałęzi, rwąc sławne ze smaku i wielkości swojej „orzechy avellińskie“. Starsi pociągali za sobą młodszego malca i przez całe lato, zwłaszcza gdy orzechy dojrzwały, chłopcy przepędzali tu niemal dnie całe od świtu do wieczora, jak leśne wiewiórki. Dumas (ojciec) który miejsce to zwiedzał, pisze w pamiętnikach swoich, że zwykłą mu amfazą, że „wtedy to uczył się Hugo przebywać na wysokościach, gardzić przepaścią i zdobył sobie obojętność wobec próżni“. Odrzucając na bok co tu jest deklamacją, trzeba przyznać, że takie wrażenia lat dziecinnych musiały oddziaływać na polot młodej wyobraźni i przyczyniły się do kierunku danego twórczej fantazyi poety. Dziecko rosnące w mieście między wązkim podwórkiem a ulicą nie wyrobi sobie nigdy zdolności do takiego rozwijania skrzydeł poezyi jak to inne, które się styka z naturą, zwłaszcza tak malowniczą i wspaniałą groźną, jaką ta była.

Dodać trzeba, że w miejsce bajek o kotkach i pieskach, dziecko słuchało opowieści o sławnym zbojcy, Fra-Diavolo, którego zwyciężył i ujął pułkownik Hugo, i w nagrodę został mianowany gubernatorem zdobytej dla króla Józefa prowincyi. Fra-Diavolo był to zbojca patryotyczny i on-to kierując drobnymi bandami, ukrytymi wśród gór i wąwozów Kalabrii, nie dopuszczał Józefa Bonapartego do neapolitańskiego tronu. Pokonawszy go i dostawszy w moc swoją, pułkownik Hugo osiedlił się dopiero na stałe, przyzwał do siebie z Francyi żonę z dziećmi i dał im mieszkanie nad przepaścią. Trzeba tu dodać, że on to również ujął w wandejskim lesie de la Chabatière generała Charette, ostatniego obrońcę sztandaru starej Francyi, rojalistycznego sztandaru z liliami. Było to w 1795 roku. Józef Hugo, podówczas młody adjutant generała republikańskiego Muscar, ukazał się w Nantes jako bohater dnia, tryumfujący, otoczony urokiem zwyciężkiego wojownika, przytem sprawa Burbonów zdawała się być nazawsze przepadłą, czemś, co musi iść w grób, zniknąć nazawsze z powierzchni ziemi, to też gdy poznał i pokochał Zofią Trébuchat, odpłaciła mu wzajemnością i została jego żoną. Oboje mieli potem pożałować tego kroku; jakkolwiek nie dzieliły ich różne ideały ojczyzny, lecz tylko stronnictw, niemniej na dnie czary, z brzegu słodko upajającej, znalazło się tyle gorzkości, że aż zatrula ona miłość, zniszczyła szczęście i rozdzieliła dwie istoty, które powinny były pozostać złączone aż do śmierci. Ale w małżeństwie musi być wszystko harmonią i zgodą uczuć najdoskonalszą—wiara, nadzieja, miłość musi być między dwojgiem jedna i niepodzielna.

Synowie, siadając na kolanach ojca, słuchali historii zwyciężkich bojów, romantycznych jego wypraw, opowiadanych z zapalem młodzieńczym. Gdy syn najmłodszy przyszedł na świat, ojciec miał lat dwadzieścia osm, matka dwadzieścia pięć. W chwili ślubu on liczył dwadzieścia jeden,

ona osmańskie. Kochali się, nie widzieli nie poza tą miłością, a jednak była przeszłość każdego z nich, były uczucia i przekonania z niej powstające.

Kiedy w 1808 roku Napoleon I-szy, zgniotszy oporną mu Hiszpanię, zapragnął osadzić na jej tronie Józefa Bonaparte i nakazał mu zmienić tron neapolitański na hiszpański, pułkownik Hugo, przywiązany do niego osobicie, musiał towarzyszyć mu do Madrytu: trzeba więc było rozdzielić się z żoną i dziećmi, aż do czasu, póki kraj nowo zdobyty nie zostanie, jak poprzednio Włochy, uległym i uspokojonym wobec silnego zwycięzcy. Pułkownikowa Hugo powracała zatem do Francji, do Paryża, gdzie po pewnym czasie zamieszkała w starożytnym, poklasztor-nym gmachu: „des Feuillantines“, mającym w głębi obszerny zielony rozłóg, a dalej cienisty ogród drzew starych, z ruiną zburzonej przez Rewolucy-ę kaplicy w pośrodku: „Plein de bourdonnements, et de confuses voix“, jak przypominał sobie w wiele lat potem poeta, dla którego wiosny życia tu był raj.

Wiktor Hugo, pisząc o tych miejscach w sześćdziesiąt lat potem, gdy nie tylko już młodość, ale nawet wiek mężki pozostał gdzieś w tyle, i starość zwracała już tylko wzrok tęskny poza siebie, doznawał jeszcze silnego wzruszenia żalu na myśl, że zburzonym to zostało: „Dziś już nie ma z tego nic“ — pisze z wielką goryczą. — wielka, dość nieużyteczna ulica przechodzi tamtędy. Ostało się tylko między dwiema kamienicami trochę trawy i kawałek odrapanego muru, lecz w 1871 r. padła tu bomba pruska i zniszczyła do reszty to, co Hausmann niezwalonem zostawił. Wspomnienia poety o tym domu i o tej, która tu była niegdyś bóstwem opiekunem, są pełne niewymownej tklivosti. — „O matko moja! bądź błogosławiona — woła starzec (w 1875 r.) z niemniejszym uczuciem miłości, jak niegdyś pisał młodzieniec (na pierwszej karcie „Feuilles d'automne“):

Anioł, który lał miłość niemierzonym źródłem
Na trzech synachków wiecznie tuż przy sercu
[swojem.

Hugo wśród tych wspomnień pisze: „Nie widywałem tu nikogo prócz mej matki, moich dwóch braci i dobrego starego księżyny, z książką pod pachą.“ Książka ten, dawny oratoryanin, był nauczycielem „clement précepteur“, który uczył nie tylko dwóch starszych chłopców, ale i najmłodszego, „wiele łaciny, trochę grecczyny, a nie wcale historyi.“ Dziecko poeta „żyło w kwiatkach, żyło życiem tego klasztornego ogrodu, spoglądając za lotem pszczoł i motyli, zbierając po trawie żółte kwiaty podróżnika i stokrotki.“ Matka żyła w dzieciach, a była to przecież kobieta mało co więcej niż trzydziestoletnia, piękna, zajmująca w towarzystwie nieposlednie miejsce, mogąca mieć przystęp do dworu, bo pułkownik Hugo zostawał kiedyś w bliskim stosunku z Eugeniuszem Beauharnais, będąc adjutantem jego ojca, generała Beauharnais. Paryż błyszczał wtedy świetnością, wrzał ruchem, pełnym wesołego życia, o ona wybrała sobie w nim ustron cichą, gdzie jej za wszystko starczył obowiązek: nie dziw też, że synowie otaczają ją wspomnieniem szacunkiem i miłością, że ją nazywają aniołem. Była nie aniołem, ale kobietą uczciwą, szlachetną kobietą, która nie stawiała siebie i swoich przyjemności na pierwszym planie życia; nie uważała, że jej prawem, przed którem może zniknąć obowiązek, są te przyjemności: zabawa, stroje, wielbiciele, zadawalniający jej miłość własną przez swe służby powolne. Wspomnienie takiej matki, taki obraz kobiety u zarania życia, dzieciństwo pę-

dzzone w warunkach ciszy i słodkich stosunków rodzinnych, uważać też trzeba, nie tylko za szczęście dla człowieka, ale za szczęście dla poety. Obok kobiety, będącej modną damą, strojną, bawiącą się, inne wrażenia byłyby go otoczyły i wy-rabiały inaczej charakter, dawały inny kierunek myślowi, nagięcie skłonnościom — nie z pszczołami i motylami byłby przestawał i nie byłby mógł napisać: „Ainsi vivait déjà sérieux l'enfant, qui était moi. Je me rappelle toutes ces choses. ému.“

Matka chowała synów, mimo miłości najwyższej, karnie i wymagała wielkiego, bezwzględne-go posłuszeństwa. „Nięgięta i czuła, poważna i słodka surowa i poświęcona“ — oto obraz, który syn maluje z miłością najwyższą, dodając kilka rysów charakterystycznych. Posiadłość zajmowa-ną przez rodzinę Hugo stykała się ogrodem swoim z ogrodem posiadłości drugiej, gdzie mieszkał właściciel obydwoch, astronom Lalande. Rozgraniczał je tylko delikatny płotek i Lalande, lękając się wycieczek chłopców, chciał wnieść mocniejsze sztachety, ale pułkownikowa Hugo sprzeciwiła się temu. — Nie potrzeba, synowie moi nie przekroczą granicy pańskiego ogrodu, bom im to zakazała — rzekła ze spokojną pewnością swojej władzy, i żaden młodec, ani starszy, ani młodszy, nie postąpił ani razu poza granicznym płotkiem.

W ogrodzie, który już do nich należał, były drzewa owocowe, ale nie wolno było brać z nich owoców. — A te które spadną z drzewa? — zapytał raz matki mały Wiktor. — Powinny tam pozostać — odpowiedziała mu. — To będą tam gnić... — Niech gniją.

I gnily, nieruszone nigdy.

Po zagospodarowaniu się najstarszy z braci. Abel, został oddany do collegium. Dwaj młodsi chodzili do szkółki, którą na sąsiedniej ulicy S-go Jakóba utrzymywał niejaki ojciec Lari-vière i gdzie uczono czytać, pisać i rachować. Wracając z tej szkoły do domu, bracia spotykali się z bandami chłopców, grających w piłkę na zamkniętej uliczce Feuillantines i zapraszających do swego towarzystwa, ale matka nie pozwoliła mieszać się z niemi, i żaden, ani starszy Eugeniusz, ani młodszy Wiktor, nie uległ ani razu pokusie, która dla Wiktora była wielką. Aby się jej nie poddać, przechodząc odwracał głowę i pa-trzył na stary czarny mur, też dawnego klasztoru, ciągnący się z jednej strony uliczki. Czynił to wzdychając, ale dotrwał.

W to życie ciche wplótł się nagle tajemniczy dramat.

Po przyjeździe do Paryża pułkownikowa Hugo mieszkała przez czas jakiś przy ulicy Clichy. Generał Lahorie, ojciec chrzestny Wiktora, zamieszany w 1804 r. w sprawę generała Moreau, i w którego osobie Napoleon ściagał podnoszącą się przeciw niemu opozycyą dawnych żołnierzy Rzeczypospolitej, poszukiwany przez policyę, ukrywał się u kogoś z przyjaciół, gdy naraz spostrzegł, że ten ktoś zaczyna być niespokojnym. A smutny traf chciał, że generał był wtedy chory, że było mu niepodobna uciekać daleko i naraz przypomniał sobie kobietę, o której wiedział, że jest szlachetna i odważna, że ma serce i postanowił prosić ją o przytułek. Gorączkę miał taką, że iść nie mógł, kazał się więc nieść do niej w lektyce i gdyby nie była go przyjęła, był zdecydowanym sam się od-dać policyi. Ale nie, drzwi jej domu otworzyły się wspaniałomyślnie przed ściغانym, który, nie-mniej szlachetny jak ona, nie chciał narażać ko-biety i gdy po trzech dniach ukrywania się w po-kojczku, który jej służył za gotownią, mógł się podnieść, natychmiast pożegnał ją i wyszedł od niej na ten Paryż, gdzie każdy kamień, na który

stał, mógł mu się stać pod nogami przepaścią. Ale po długim błaganiu się, przebieraniu, po długim i coraz-to trudniejszym ukrywaniu się, znękany, zmęczony tem życiem, znalazł zno-wu w położeniu takim, jak poprzednio. Za głowę jego wyznaczono nagrodę i nieszczęśliwy człowiek już stary, bo był starszym od pułkowni-ka Hugo o lat dwadzieścia pięć, obsaczony ze wszystkich stron, zwrócił się znowu do tej, która go raz ocaliła, do pułkownikowej Hugo, mieszkającej już teraz w gmachu „des Feuillantines“ i poraz drugi został wspaniałomyślnie przyjętym. Mąż wiedział przecież o postąpieniu żony, bo Wiktor Hugo, pisząc wśród wspomnień swoich o tułaczku, ukrywającym się wśród gruzów starej kaplicy, czyni taką wzmiankę: — „Tylko matka i ojciec nasz wiedzieli o tem — nikt więcej“.

Ale ukrywanie to, trwające lat dwa, nie mogło pozostać wciąż tajemnicą dla domowników. Chłopcy biegali po całym ogrodzie; Wiktor, zwłaszcza ciągnęły zdziżące zarośla, jak to opisał później poeta: — „Nieraz awanturowałem się aż w kneję posępną w głębi ogrodu: nic tu się nie poruszało prócz wiatru, nic tu się nie odby-wało krom gniazd, nic nie żyło wyjąwszy sta-rych drzew. Zaglądałem przez ich gałęzie na starą kaplicę, której powybijane szyby, pozwalały widzieć mury wewnętrzne, dziwacznie wyklada-ne muszlami morskimi. Ptaki wlatywały tam i wylatywały przez okna, były tam u siebie — Bóg i ptaki, to się godzi ze sobą!“

Raz, ukrywający się tam samotnik dał się nie-ostrożnie ujrzyć oczom ludzkim, i od tego czasu darmo już było upierać się przy tajemnicy. „Uka-zanie się nieznajomego, zadziwiło bardzo nas — dzieci — pisze Wiktor Hugo. — Co do starego księ-dza, ten widział w swoim życiu dość tułaczy i skazanych, aby zatracić w sobie zdolność dzi-wienia się czemuskolwiek. Ktoś, co się ukrywa... pocziwiec znał swoje czasy i wiedział co to znaczyło — z kim miał do czynienia“.

„Matka kazała nam milczeć, czegośmy też świę-cie dotrzymywali i od tej chwili nieznajomy prze-stał być w domu istotą tajemniczą. Na co sek-ret, już nieużyteczny? Odtąd też jadał z na-mi przy stole, chodził po ogrodzie, czasem kopał ziemię i robił coś obok ogrodnika; nam, chłop-com, radził w różnych rzeczach, mieszał swoje lekcye z lekcyami księdza. W szczególny sposób brał mnie na ręce, tak, że się śmiały i strachał razem — podnosił mnie do góry i potem puszczał, pozwalając lecieć prawie do ziemi. Jak się na-zywał? — nie wiedziałem. Matka mówiła mu: Ge-nerale... ja wołałem na niego: — Ojcie chrzestny“.

„Mieszkał zawsze w ruinach kaplicy, nie trosz-cząc się o zimno i ciepło, o pogodę. Deszcz i śnieg leciał w zimie przez okna bez szyb, on przecież biwakował tam niezmiennie; miał za ok-tarzem łóżko żelazne, obok w kąciek pistolety i Tacyta, z którego kazał mi tłómaczyć. — Dziec-ko — mówił, opowiadając mi o Rzeczypospolitej Rzymskiej — przedewszystkiem *patria*!“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny, przez Maryą Ilnicką. — Wiktor Hugo, Charakterystyka, (dokończenie), przez S. K. — Gdzie? poezya, przez A. Mieszkę. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, (dalszy ciąg), przez Quis'a. — Dalszy ciąg Książki-pamiętek, N. Żmichow-skiej. — Nowiny paryżki. — Z życia Wiktora Hugo, przez Maryą Ilnicką.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — 26 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Юля 1885 года.